

O D wielu lat chciałem o nim napisać. Ale najpierw nie mogłem, bo w ogóle nie wiedziałem piórem, a gdy w końcu zostałem dziennikarskim debiutantem, nie wiedziałem, jak się do jego osoby zabrać.

Czekałem więc na jubileusz Leonarda Turkowskiego. Ale gdy 31 września zobaczyłem go w Sali Kromerowskiej olsztyńskiego zamku, jak siedział na podium — wypisł, wymaluj — prosto z obrazów Matejki, wziąłem się za głowę: Turkowski wkroczył na Wawel i jak mu teraz dam radę?

Zwłaszcza że na półwiecze swojej literackiej twórczości i w siedemdziesiątą rocznicę urodzin zebrał wyrazy uznania tak serdeczne i tak powszechne, że przeżył jakiegoś apogeum skierowanych ku niemu uczuć. Było więc na zamku pogodnie i przyjaźnie, choć mogło być solennie i okolicznościowo.

Stanąłem jako trzeci do składania życzeń, nie oglądając się za siebie, a gdy się odwróciłem, to za mną był orszak: kwiatny i weselny.

Obserwując przebieg uroczystości, zapytałem, czy mi się Turkowski nie zmarmurza. Ale uniknął tego dzięki niekoturnowej, ciepłej i żartobliwej mowie Władysława Ogrodzińskiego, współpisarza i współspółecznika.

„Siedemdziesiątka — mówili ten historyk i przewodniczący PRON — dożywa człowiek totalnie, a nie podrobiony na rozdzielki. Zwłaszcza ten, który pisarski pion życia pogodził z obnoszeniem kaganka oświaty, karesami z dziennikarską kaczka, opatrywanem bibliotecznym molli i chodzeniem w kieracie społecznej służby”.

Sam Turkowski mówił zupełnie na końcu, już po koncercie, a choć po Wieniawskim, wykonanym przez młodzieżkiego skrzypka Roberta Bielaka, trudno było przemawiać, jednak sprostał. Mówił o swojej miłości do skrzypiec i do wierszy. Wyrażał radość, że wiersze odczytali za niego artyści teatru i że nikt nie kazał mu zagrać. Mówił o rodzinnej ziemi poznańskiej i o swojej ojczyźnie drugiej, czyli o Mazurach i Warmii, gdzie się zakochał i gdzie spożywa swój chleb. Mówił też o realnej sile zwycięż, jakie otrzymał, bo to one chyba sprawiły, że w aż trzech wydawnictwach ukaza się teraz nowe jego książki. Wśród nich „Narodzony generała” w naszym „Pojezierzu”.

Tyle o uroczystości. Teraz trochę o nim samym.

W latach przedwojennych, w Seminarium Nauczycielskim w Poznaniu Leonarda Turkowskiego nazwał klasowy jego wychowawca, Jan Sztudynger, poznańskim cyganem, a jego ówczesne wiersze określił jako „dosadne, trafne i zuchwałe, jak on sam”.

Ale zanim ten, niefortunny zresztą, uczeń przystąpił do pisanja, przeżył swoje dzieciństwo w Poznaniu, w dzielnicy zwanej Łazarzem, przy ulicy Głogowskiej. Trochę mnie tu zawładnie zamiar pamfletysty, bo aż dwa cykle wspomnień Turkowskiego: „Księga mego domu” i „Księga mego miasta”, gromadzą na temat tego dzieciństwa i tej młodości tyle przejmujących informacji, że żarty milkną. No bo jak tu zapomnieć dzieciaka trzy-

manego pod pachy we framusze okiennej, oglądającego jeden po drugim pogrzybe poległych wielkopolskich powstańców, jak wspomnieć obrazy z lat trwałego niedostatku w wielodzietnej rodzinie robotniczej i późniejszą tułaczkę bezrobotnego inteligenta?

„Świat moich pierwszych lat — owa głęboka studnia podwórza — daleki był od literackiej fanaberii (...). Także dom nasz zwracał się raczej ku trosce o chleb powszedni niż ku dążeniu do pięknego próżnowania. Książkę spotykało się w nim o tyle, o ile służyła czemuś konkretnemu: nauce szkolnej, modlitwom, leczeniu chorób, różnym celom praktycznym, łącznie z wyjaśnianiem snów, od których tak wiele zależało w mniemaniu prostych ludzi...”

Jako dziecko wielkiego kryzysu przeżywał Turkowski wraz z całym swoim rodzeństwem „aż do bólu, aż do łez” świadomość, „że się jest dosłownie niczym”.

mieślnicy, tramwajarza, inteligenci — starzy i młodzi — a Nowowiejski (...) bywał w tych chórach, wzywał je. Sam prowadził wielki mieszany Chór Narodowy i męski chór „Echo”. Przewodził w Związku Towarzystw Śpiewaczy.

Co u Turkowskiego z tych skondensowanych, aż gęstych informacji o poznańskich ludziach i sprawach wyczytałem — to już moje. Pozostanie w pamięci i ten leciwy Wyczółkowski i jego potężne cisy koło Wierzchlasu, które Turkowski oglądał w naturze i na obrazach mistrza. I świetny poeta — dziwak, Wojciech Bąk, i prezes ZLP — Zenon Kosidowski: cały orszak osób wybitnych, a przecież nie tworzących sobie a muzom, ba! rozśpiewanych nawet w trzech literackich kabaretach, odroślach „Zielonego Balonika”.

Turkowski jako ceniony świadek i uczestnik tamtych dni dru-

żeń, jakie zaszły w naszym województwie, których nikt raczej opisywać nie chce, bo na to „za wcześnie”. Nakreślił też mnóstwo wizerunków ludzi, na pewno bliźszych od Kromera, Gizewiulsa czy Krasickiego, ale za to współczesnych nam i znanych z prac oświatowych, z polityki, administracji, z literatury, z dziennikarstwa. I to jest zasługą A czy się sobie w tym jego zwierciadle podobamy, czy nie — to rzecz inna.

Długo był nauczycielem — przede wszystkim w naszym województwie. W „moim” Liceum Pedagogicznym w Bartoszycach był jednym z pierwszych partnerów do współmyślenia i współtrudni, osnową partyjnej działalności (sekretarza) i kulturalnego życia środowiska. Sam pisał, a zachęcał nas do pracy na szkolnej scenie i do plastyki, i do wieczorów poświęconych literaturze. Miał swoje poczesne miejsce w tym niepowtarzalnym tygryl życia umysłowego bartoszyckiego ośrodka. Prowadził przy tym praktykę pedagogiczną uczniów, uczył gry na skrzypcach i eksperymentował w początkowym nauczaniu dzieci. Pisał z naszej szkoły stale felietony do „Głosu Nauczycielskiego” jako Turek z Bartoszy i wyfrunął od nas w szeroki świat publicystyki i literatury. I tam, niech go już osadzają krytycy i znawcy zagadnienia. Ja go jeszcze w tych Bartoszycach trochę przytrzymam.

Dziwiła mnie skłonność Turka do pedanterii i dyscypliny, bo cechy te nie odpowiadały jego naturze bywalca, kompana i poety. Autor frazsek politycznych, za których zbiorowe odśpiwanie musiał się wraz z Korcem tłumaczyć wteady, w 1960 roku w Komitecie Wojewódzkim, miał szacunek dla władzy, nawet tak lichutkiej jak moja dyrektorska w liceum pedagogicznym. Otóż pewnej wiosennej nocy 1962 roku Turek z innymi pedagogami rozminął się z trzęsawicą i zakłócił absolutną ciszę, panującą pod gwiazdzistym niebem Ośrodka Szkolnego w Bartoszycach. Wybiegłem z domu, nagałem i całe to literackie spotkanie zakończyłem warknięciem: „Wszystcy czterej jutro u mnie w gabinecie! o śmieję!”. Tamci włożyli sprawę między bajki, a Turek — cóż — przyszedł. Dusza poznańska nie pozwoliła mu nie przyjechać. Nie przepasał. Mówił, że przysadam, mruczał, burczał, narzekał, ale był. Uratował mój gniewny autorytet.

Wszędzie dziś pełno Leonarda Turkowskiego. Na plenerach literackich, organizowanych od lat dla nauczycieli, ludzi pióra, muzyków i plastyków, na spotkaniach i obradach literatów — od Śląska po Gdańsk i od Bydgoszczy po Płz. Jest wśród piszących robotników i w szkołach. Jest też — wyznajmy to wreszcie — w szczęściu swoich tomikach wierszy. Wynajdę mu jeden niemiody taki liryk, niemiody bo... młodopolski, może tuwimowski. Niechże się go nie wypiera, wiersz godny jest jubileuszu:

„Iść przez jesienną pustkę gór
i ręką zbierać deszcze z ciężkiej chmur,
a z czerni stawów zmłatać mgły.
A potem zejść na syty halny stół
i lipcem ząc słoneczne skry,
by w złotym sнопie znieść ja
w dół.
— Być majem, stońcem
i księżycem,
gwiazdami spadać na ulice —”

Jerzy Korkozowicz

„Wszędzie go pełno”

„W kamienicy naszej — wspomina przyszły autor „Dojrzwania” — z tłumem dzieci, gimnazjum ukończył tylko Kazio Ewicz (...). Moi przyjaciele podwórkowi albo szli do rzemiosła, albo szukali dorywczych zarobków. Jedna z dziewcząt pracowała nawet jako „kobieta bez tułowia” (w cyrku), co było bardzo poczesne, bośmy ją przed południem widywali chodzącą normalnie na własnych nogach...”

Turkowski, czternastolatek usiłował coś zarobić jako umundurowany boy na terenach Powszechniej Wystawy Krajowej, jako gazeciarz — roznosiciel tego samego „Nowego Kuriera”, w którym wkrótce potem zostanie dziennikarzem. No bo jako uczeń seminarium pisywał już felietony. Trochę za nie, a trochę „w ogóle za wszystko”, ze szkoły wyleciał. Ze szkoły, ale nie z życia artystycznego swojego miasta, z grona bohemy literackiej Poznania, miasta, w którym drukował swoje wiersze i ich tomiki, no i poznawał ludzi. Poznawał, aby ich zapamiętać i później opisać.

Dla mnie, który ziemi Marcinkowskiego i Libelta nie zna, kultura samego Poznania, a także wielkopolskich miast, miasteczek i osad jest niedościgłym ideałem. Jest szkołą polskości, rzetelnej pracy i artyzmu, wiedzy i jej upowszechniania.

„W chórach poznańskich — wspomina autor „Księgi mego miasta” — śpiewali robotnicy, rze-

kuje co tydzień w poznańskim tygodniku „Wprost” swoje „Powroty”, pisząc o ludziach, o mieście, o sobie i o czasach, które odeszły i które nadchodzą. Jest też stale obecny w „Expressie Poznańskim”, a w „Kronice Wielkopolskiej” umieszczają rozprawy z literatury najnowszej. Takie życie uczuciowe i umysłowe prowadzone na odległość imponuje i wzrusza.

Bo za rzecz zupełnie naturalną trzeba uznać, że Turkowski, prezes olsztyńskiego oddziału ZLP w latach 1972—1980 (przez trzy kadencje) pisuje, stale (niemal od założenia pisma) do „Warmii i Mazur”. Starsi pamiętają go też w redakcji „Głosu Olsztyńskiego” i „Gazety Olsztyńskiej” w latach 1962—1969. W olsztyńskim „Pojezierzu” wydał wiele utworów: dwa tomy wierszy, powieść o Koperniku („Ziemia i niebo”), zbiór opowiadań („Spotkanie świąteczne”) oraz znów powieść „Na początku było jezioro”. Także „Księga mego domu” oraz niedawny bestseller — „Księga Warmii i Mazur”.

Ta „Księga” — to rzecz autobiograficzna, obejmująca przy tym znaczne fragmenty naszej współczesności i najnowszych dziejów ziemi olsztyńskiej. Przeżytych przez autora osobiste, widzianych stroniczo, ale rzetelnie, omówionych „po swojemu”, lecz z powagą i z sercem. Turkowski przedstawił przy sposobności mównica o swojej biografii dobre ćwierćwiecze przeróżnych wyda-